

Maciej Potulny: Hemingway walczył, by przeżyć swój czas z wdziękiem i klasą

Hemingway uważał się po prostu za człowieka walczącego o to, żeby przeżyć swój czas z wdziękiem i klasą, a potem umrzeć dobrą śmiercią w brutalnym, bezlitosnym świecie, w którym wszyscy muszą cierpieć – taką samą postawę można zresztą zauważyć u wielu jego bohaterów – mówi Maciej Potulny w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Hemingway. Pisarz (nie)stracony”.

Andrzej Lewicki: Trudno uwierzyć, że powieść Ernesta Hemingwaya „Zaś słońce wschodzi” za trzy lata będzie obchodziła swoje setne urodziny. W jakiej mierze jest to dla Pana – jako autora nowego przekładu, ale także czytelnika – utwór nadal aktualny?

Maciej Potulny: Moim zdaniem książki są w dość komfortowej sytuacji w porównaniu z, na przykład, filmami albo muzyką. Starzeją się o wiele wdzięczniej. O ile film z początku XX wieku traktujemy dzisiaj raczej jako zabytek i ciekawostkę – choć oczywiście wiemy, że stanowił źródło inspiracji dla późniejszych produkcji – o tyle niekoniecznie dzisiaj idziemy na niego do kina albo włączamy go sobie dla rozrywki. Dezaktualizuje się nie tyle – lub nie tylko – ich treść, ale przede wszystkim warstwa techniczna. Pisanie już od bardzo dawna nie wymaga korzystania z najnowocześniejszych zdobyczy techniki. Gra przede wszystkim na emocjach – w każdym razie w beletrystyce – a te

raczej nie ulegają przeterminowaniu. Z upływem lat może zmieniać się ich waga, konfiguracje, postawy ludzi, ale same emocje stanowią układ mniej więcej zamknięty.

Ponadto historia lubi się powtarzać. Hemingway w „Zaś słońce wschodzi” pisał o ludziach straconych dla świata, pogubionych, przegranych (lubię tę wieloznaczność słowa „lost” w „lost generation”) wskutek udziału w I wojnie światowej i wykolejenia emocjonalnego w związku z tym, że po tak silnych przeżyciach trudno im było wrócić do normalności. Domyślam się – na szczęście mogę sobie na ten temat jedynie teoretyzować – że cierpieli na to, co obecnie nazwalibyśmy nieleczonym zespołem stresu pourazowego (PTSD). Na domiar złego po doświadczeniach frontowych wszystkie późniejsze przeżycia ulegały redukcji w ich oczach, degenerowały się. Stąd tak wiele w tej powieści cynizmu, zblazowania, a jednocześnie pogoni za jak najsilniejszymi emocjami – zatracania się w alkoholu, przelotnych związkach, podróżach czy też korridzie, a także desperackiego szukania nowego porządku i tęsknoty za ładem. Myślę, że można powiedzieć, iż różne kryzysy historyczne wywołują u wielu ludzi podobne reakcje – czy to II wojna światowa, konflikty na Bliskim Wschodzie, a jeszcze bardziej współcześnie – wojna na Ukrainie lub nawet pandemia COVID-19.

Tematów poruszonych w „Zaś słońce wschodzi”, które da się przełożyć na czasy współczesne, jest jeszcze więcej – na przykład dynamika relacji między przyjaciółmi i partnerami, poszukiwanie inności, a mimo to sięganie raczej po rzeczy już dobrze znane, sugestie dotyczące fantazji homoseksualnych – ale już wspomniany główny problem wskazuje na fakt, że jest to utwór jak najbardziej aktualny.

Czy to samo – w kwestii aktualności – można powiedzieć o pierwszym polskim przekładzie, autorstwa Bronisława Zielińskiego z 1958 r. – jak ono przetrwało próbę czasu?

Trochę mnie Pan podpuszcza, żebym zaprzeczył, prawda? Ale prawda jest taka, że nie wiem. O to trzeba zapytać krytyków literatury albo przynajmniej kogoś, kto dobrze zna przekład pana Bronisława Zielińskiego. Nie wiem, czy to będzie wielkie, dramatyczne wyznanie, ale bardzo słabo pamiętam tamten przekład. Czytałem go ponad dwadzieścia lat temu i chociaż przed rozpoczęciem pracy nad nowym przekładem chciałem go sobie odświeżyć, było to niemożliwe, bo o ile wiem, nawet w Polsce znalezienie „Słońce też wschodzi” w antykwariacie lub bibliotece graniczy z cudem, w Melbourne zaś, gdzie obecnie mieszkam, jest to po prostu niewykonalne. I szczerze mówiąc, z perspektywy czasu uważam, że bardzo dobrze się stało. Bronisław Zieliński poznał osobiście Hemingwaya i wątpliwości dotyczące przekładu albo zrozumienia oryginału rozwiewał za pomocą korespondencji z autorem. Obawiam się, że gdybym miał pod ręką tamten przekład, czułbym się nim związany, nie chciałbym oddalać się od niego, uznając, że kto jak kto, ale pan Zieliński na pewno wiedział, co robi, więc ręce precz od Hemingwaya. Tymczasem upłynęło sześćdziesiąt pięć lat od pierwszego tłumaczenia, a dwadzieścia od mojego pierwszego kontaktu z tą książką i właściwie pamiętałem jedynie, że był to przekład bardzo kulturalny, poetycki i stateczny. Jakież było moje zdziwienie, kiedy przeczytałem oryginał! Zupełnie nie tak pamiętałem tę powieść. Ale czy stary przekład przetrwał próbę czasu? Myślę, że tak. Czytam recenzje i komentarze czytelników w internecie i bardzo się cieszę, kiedy doceniają oni, jak świeżo i współcześnie brzmi moja wersja. Ale z równym zainteresowaniem i szacunkiem odnoszę się do opinii tych miłośników literatury, dla

których tłumaczenie pana Zielińskiego jest kanonem, wzorem znakomitej polszczyzny i interpretacją godną najwyższej pochwały. Zatem nie brakuje ludzi, dla których nie zestarzało się ono ani trochę. Myślę, że na półkach jest miejsce dla obu i chętnie zobaczyłbym także jego wznowienie.

Zacznijmy od samego tytułu powieści: „The Sun Also Rises”, który u Zielińskiego brzmiał „Słońce też wschodzi”, a u Pana – „Zaś słońce wschodzi”. Skąd wzięło się „zaś”?

Sprawa jest banalnie prosta i wspomniałem o niej w słowie od tłumacza. Tytuł jest nawiązaniem do epigrafu będącego fragmentem biblijnej Księgi Koheleta. U pana Zielińskiego był to fragment w polskim przekładzie katolickim, u mnie jest w protestanckim (na podstawie Nowej Biblii Gdańskiej, w której ten wers brzmi najzgrabniej w kontekście tytułu).

Hemingway wychował się w rodzinie należącej do Kościoła zielonoświątkowego. Polscy zielonoświątkowcy wskazują na Biblię Warszawską – jednak gdybym posłużył się nią, tytuł brzmiałby: „Słońce wschodzi i słońce zachodzi”. Niezbyt zgrabnie, dlatego wybrałem inny przekład – ale też protestancki.

Podczas I wojny światowej Ernest Hemingway w wieku 19 lat pracował jako kierowca ciężarówki na froncie włoskim. Kiedy wiózł żołnierzom słodycze, dostał się pod ostrzał z karabinu maszynowego i został trafiony ponad 200 fragmentami pocisku moździerzowego. Na miejsce wypadku dotarł włoski ksiądz, który ochrzcił przyszłego pisarza na polu

bitwy i udzielił mu ostatniego namaszczenia. Hemingway uważał się odtąd za katolika, ale bez większego zaangażowania. Dopiero osiem lat później – po rozpadzie swojego pierwszego małżeństwa – przeszedł formalną konwersję, tym razem świadomie, przygotowując się do ślubu z katoliczką, Pauline Pfeiffer.

Przy okazji warto zwrócić uwagę, że chociaż Hemingway w swojej twórczości często sięgał po wątki biblijne, to w odróżnieniu od Flannery O'Connor nie promował swojej wiary, ale w odróżnieniu od Jamesa Joyce'a nigdy się jej nie wyrzekł. Uważał się po prostu za człowieka walczącego o to, żeby przeżyć swój czas z wdziękiem i klasą, a potem umrzeć dobrą śmiercią w brutalnym, bezlitosnym świecie, w którym wszyscy muszą cierpieć – taką samą postawę można zresztą zauważyć u wielu jego bohaterów.

W słowie od tłumacza wspomina Pan, że czytelnika może zdziwić „styl zupełnie niepodobny do poprzedniego tłumaczenia”. Na czym polega dokonana przez Pana zmiana?

Chodziło mi przede wszystkim o rezygnację z nakładania na „Zaś słońce wschodzi” filtra literatury wysokiej. Od razu chcę położyć nacisk na to, że ta decyzja bynajmniej nie oznacza skłonności do niechlujstwa językowego. Mam na myśli raczej uproszczenie stylu po to, żeby oddać surowy, reporterski język oryginału, w którym większość stanowią słowa jedno- i dwusylabowe, a trzy sylaby są wyjątkiem. Ponadto nie ma tam kwiecistych słów mających więcej niż piętnaście liter – dłuższe ze względów technicznych nie mieściły się w depeszach prasowych. Wynikało to z przyzwyczajień autora, który długo pracował jako reporter. Unikałem też poetyzowania, archaizowania (przyznaję się, że

w związku z tym popełniłem pewien błąd – w 1926 roku bowiem nie istniały jeszcze bikini, należało zatem zostać przy kostiumie kąpielowym) i uładzania języka. Hemingway twierdził, że używa jedynie takich słów, które w jego ocenie mają szansę na długowieczność i nie będą trącić myszką. Miał to być także styl strawny dla każdego średnio wykształconego człowieka.

Pan Zieliński miał okazję poznać Hemingwaya, tymczasem zaletą dzisiejszych czasów jest ogromny wybór opracowań naukowych dotyczących stylu tego autora. Dzięki nim zwracałem szczególną uwagę między innymi na obecność słów i zwrotów budzących skojarzenia z piekielnym żarem, spiekotą, suchością, wypaleniem itp. Albo takich, które w drażniący sposób przypominają głównemu bohaterowi, Jake'owi Barnesowi, o jego nabytej wskutek obrażeń wojennych impotencji – co chwila coś się tam wznosi, pręży, unosi, stoi, wymachuje itp.

Czy – jeśli mogę tak powiedzieć – takie radykalne uwspółcześnienie języka Hemingwaya nie grozi wykołajeniem związanego z nim kontekstu historyczno-kulturowego, w którym pisarz był mocno osadzony?

Nie jestem pewien na ile radykalne jest to uwspółcześnienie – jak już wspomniałem, pamiętam stary przekład jak przez mgłę. Nie uważam jednak, że wyróciłem do góry nogami kontekst historyczno-kulturowy. Zawsze wyobrażałem sobie, że bez względu na to, czy żylibyśmy na początku XX wieku, czy w dzisiejszych czasach, rozmowy towarzyskie prowadzone w gronie przyjaciół brzmią tak samo – naturalnie. Trudno mi sobie wyobrazić, że sto lat temu dwudziestoletni

ludzie rozmawiali ze sobą książkowym albo poetyckim językiem. Nawet jeśli używali nieco innych słów – których dzisiaj już nie pamiętamy – to dla nich brzmiało to tak samo, jak dla nas pogaduszki nad browarem w Paryżu, Pampelunie czy w Poznaniu. Tyle jeśli chodzi o wyobrażenia. A oryginał „Zaś słońce wschodzi” jedynie je potwierdził. Głosy bohaterów tej powieści moglibyśmy równie dobrze usłyszeć ubiegłego lata na ogródku w centrum miasta. Dzięki odarciu narracji i wypowiedzi z ozdobników – wręcz do szorstkości i surowego mięsa – jego brzmienie jest uniwersalne, nie poddaje się kontekstowi. Zapewne ten styl nie miał się mu poddawać – o czym świadczy między innymi fakt, że z wyjątkiem oczywistego umiejscowienia akcji po I wojnie światowej odniesienia do bieżących spraw są bardzo rzadkie i po drobnych korektach mogłyby dotyczyć dowolnych czasów.

W związku z kilkoma komentarzami, które czytałem w internecie, muszę też stanąć w obronie wulgaryzmów – których nie ma u pana Zielińskiego, a u Hemingwaya... wprawdzie też nie rzucają się w oczy, ale widać – moim zdaniem – gdzie były albo miały być. Nie bronię ich dlatego, że sam ich używam – bo nie używam i nie lubię szastania nimi bez sensu w literaturze. Uważam jednak, że w tej książce pełnią dosyć istotną funkcję. Po pierwsze, niewiele brakowało, żeby „The Sun Also Rises” nie została wydana – właśnie ze względu na nadmiar wulgaryzmów. Wydawca Hemingwaya wyraźnie zażądał ich usunięcia, więc autor poskreślał je tam, gdzie uznał to za stosowne, a w innych miejscach użył jedynie różnych wariantów wyrażenia „damned” (przeklęty) i „rotten” (zgniły). Oba słowa z jednej strony podkreślają nastrój potępienia i zepsucia (podobnie jak wspomniane wyżej skojarzenia z piekłem), ale z drugiej w polskim przekładzie ich powtarzalność brzmiałaby natrętnie i sztucznie. Nie dopisywałem żadnych wulgaryzmów tam, gdzie ich nie było, ale skoro nowy przekład nie miał razić swoją sztucznością pokolenia czytelników

przyzwyczajonych do języka współczesnych seriali, książek, piosenek itp., to zdecydowałem się na większą różnorodność pod tym względem. Na przykład dzięki temu kulminacyjna scena, w której Mike pastwi się nad Robertem, ma większą siłę rażenia. Zresztą jeśli posłuchamy rozmów facetów przy alkoholu – i są to zwyczajni faceci, a nawet dość prymitywni, jak Mike – to słowa użyte przeze mnie w nowym przekładzie przewijają się w nich częściej niż „zgniły” albo „przeklęty”. Czy to stoi w sprzeczności z kontekstem historyczno-kulturowym? Moim zdaniem nie. Słowa mogą brzmieć inaczej w różnych epokach, ale bez względu na czasy mówimy wciąż o tych samych rzeczach i wydaje nam się, że w danym kontekście mówimy o nich zawsze tak samo. Myślę, że w powieści opartej w dużej mierze na dialogach warto było to pokazać.

Rozmawiał Andrzej Lewicki

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*

